



# O DWA MILIONY

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

2

(Ciąg dalszy).

W mgnieniu oka wartownik znalazł się na ziemi, podniósł dwa palce do warg i odpowiedział również świstem. Potem rzucił się nagle, przyłożył ucho do ziemi i zaczął słuchać. W dwie sekundy później doleciał go głuchy huk, cichy i przytłumiony, jakby daleki, podziemny huk dział, wydobywający się przemocą z podziemi, a nie dość silny, aby przebić jej powierzchnię. Tylko wtajemniczony wartownik zrozumiał detonację. Naokół panowała, jak dawniej, cisza, a policyant, który właśnie obok narożnika przechodził, gwizdał sobie najspokojniej jakąś piosenkę i nie przeczuwając nic złego, szedł dalej.

Zaledwie jednak znikł na zakręcie, wartownik powstał, zatarł ręce z radości i wybuchnął cichym, szyderczym śmiechem. Nie było wątpliwości, dzieło było spełnione. Bill Crooke, stosownie do najnowszych zdobyczy dostojnego cechu włamywaczy, o stworzył kasę bankową „cicho i bez najmniejszego szelestu“.

## II.

Kiedy urzędnicy wielkiego banku pod firmą Robert S. Vanderhook, znajdującego się na rogu Broadway i Avenue zgromadzili się o godzinie dziewiątej rano przed bramą, aby w oznaczonym czasie przestąpić progi tej świątyni mamony, nikt nie przypuszczał, że w banku zaszły przez noc rzeczy, które wpłynąć miały w wysokim stopniu na normalny bieg rzeczy. Na pozór wszystko było w należytych porządku. Dopiero kiedy powiernik szefa i najstarszy w banku urzędnik, mister Zygmunt, wszedł do „sanctuarium“, t. j. do pokoju, w którym się znajdowała kasa, i zobaczył, co się tam stało, omal że nie padł trupem na progu. Pierwsze jego spojrzenie padło na wielką kasę bezpieczeństwa, zaopatrzoną we wszelkie możliwe i niemożliwe aparaty, elektryczne dzwonki, kunsztowne zamki, do których żaden złodziej klucza dorobić nie potrafił, kasę, uchodzącą za niemożliwą do wzięcia dla złodziei twierdzą. Mister Zygmunt był przekonany, że kasy tej nikt okraść nie potrafi. Wydawało mu się to po prostu niemożliwym. To też mister Zygmunt nie wierzył własnym oczom. Przyłożył rękę do czoła i stanął martwy z osłupienia, jak posąg. Niestety — oczy go nie zawiodły. Drzwi żelaznej kasy, do połowy wmurowanej w ścianę i uchodzącej za niemożliwą do okradzenia, były otwarte, jedna jej ściana była oderwana. Mister Zygmunt stanął bez tchu. Nagle z piersi wydarł mu się cichy okrzyk. Pobiegł w jeden kąt pokoju. Co to? Boże wielki — trup? zamordowany?! Nie, pierś jeszcze podnosiła się i opadała — a więc żył jeszcze. Był to Bob Murphy, wierny stróż no-

cny w banku, z którym złodzieje nie najlepiej, jak widać, się obeszli. Ze związanymi na grzbiecie rękoma, z zakneblowanymi ustami, leżał biedak na kamiennej posadzce i tylko poruszanie się piersi zdradzało, że jeszcze żywie, że jeszcze nie umarł.

Przez chwilę stał mister Zygmunt jak we śnie i patrzył na skrupowanego wartownika, potem wyprostował się, wstrząsnął parę razy sobą, jakby się dopiero ze snu przebudził i spokojnym krokiem wyszedł z pokoju, zamknawszy za sobą drzwi. Żaden z urzędników, którzy tymczasem pozajmowali zwykle swoje miejsca, nie wyczytałby w jego twarzy nic nadzwyczajnego; oblicze jego było zimne, spokojne, niezbadane, jak zawsze. Dopiero kiedy wszedł do pokoju, w którym znajdował się telefon, zamknął za sobą drzwi i znów pozostał sam, rzucił się formalnie na aparat, gorączkowo pocisnął guzik, poczem, drżąc na całym ciele, wziął do rąk słuchawki i schylił się ku tubie. Ciche dzwonięcie — poczem mister Zygmunt rzekł:

— Czy mister Vanderhook senior w biurze?... Nie?... To zawołaj go pan jak najprędzej... Tu mister Zygmunt, muszę z nim w tej chwili mówić... Dobrze... Czekam...

Po krótkiej pauzie odezwał się znów dzwonek i mister Zygmunt, jeszcze bledszy niż poprzednio, pochylił się nad tubą. „Dzień dobry, sir... Bardzo mi przyjemnie... Przykro mi, żałuję bardzo, ale... niema co ukrywać... Do naszej kasy włamali się złodzieje... na Boga, przybądź pan tu jak najprędzej, wielka kasa bezpieczeństwa rozbita... co?... Zdaje się, że brakuje gotówki w papierach... przeszło dwa miliony dolarów... Bezwarunkowo nie, sir, on jest tutaj. Znalazłem go skrupowanego wroźami, z zakneblowanymi ustami, leżącego bez życia na podłodze... Tak, tak... Koniec“. Trzy dzwonięcia i mister Zygmunt nerwowym ruchem nacisnął inny guzik. „Tu Robert S. Vanderhook, bank, Broadway i róg Avenue... Wielka kradzież z włamaniem... Kasa bezpieczeństwa rozbita... Dwa miliony... Co? Do tej chwili jeszcze nie... właśnie się teraz dowiedziałem... proszę o natychmiastowe przysłanie detektywów... Koniec“.

Jeszcze słysząc było w pokoju ostatnie dzwonięcie po skończonej rozmowie, kiedy mister Zygmunt odszedł od aparatu i otarł z czoła sącący się obficie pot. Dwie sekundy czasu potrzebował, aby się uspokoić, poczem wszedł do głównego biura, jednemu z urzędników kazał otworzyć listy, a sam udał się miarowym krokiem do kasy, której drzwi jednakże napowrót zamknął.

Bob Murphy, wartownik, leżał dalej na ziemi z szeroko otwartymi oczyma, utkwionymi w suficie. Kiedy wszedł mister Zygmunt, poruszył się gorączkowo, patrzył wokół błędnym wzrokiem i wydawał z siebie jakieś niezrozumiałe dźwięki, gdyż z powodu knebla, jaki mu złodzieje wpakowali w usta, nie mógł mówić. Mister Zygmunt przykleknął, po zwyciężeniu kilku trudności wydobył mu sukno z ust i pomógł mu się podnieść.

— Zachowujcie się spokojnie — rzekł doń — to, co się tu stało, musi pozostać tajemnicą, dopóki nie nadejdzie szef i zawiadomiona już o wypadku policja.

Bob Murphy patrzył na niego skamieniałym wzrokiem.

— Wytlómacz mi, sir, co się ze mną stało — szeptał. — Czy ja spałem? Członki moje są stężale i zimne — głowa mnie boli, a — hm — na polu jasny dzień. To ciekawe. Czy pan coś mówił o jakimś nieszczęściu i o policji — ah! — w tej chwili zdało się, że odzyskał świadomość — dzisiaj w nocy, odchodzę od zmysłów — była straszliwa eksplozja —

— Cicho! Milczcie teraz i starajcie się zebrać myśli — przerwał mu mister Zygmunt, sadzając go na krześle — rozpatrzcie się po pokoju i przypomnijcie sobie, co tu zaszło. Mister Vanderhook będzie tu za chwilę.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi.

— Kto tam? — zapytał mister Zygmunt.

— Mister Vanderhook — usłyszał odpowiedź i odemknął.

Do pokoju weszli trzech panowie, naprzód szpakowaty już szef, mister Vanderhook, dalej dwaj dżentelmeni o marsowym wyglądzie. Jeden z nich zatrzymał się u progu, podczas gdy drugi pobiegł razem z szefem wprost ku rozbitej kasie.

— Gdzie jest pański zastępca? — spytał obcy.

— Jestem — rzekł mister Zygmunt, wysuwając się naprzód.

— Bardzo mi miło, że pana spotykam, sir. Jestem kapitanem policji w tym obwodzie, a to mój kolega, sierżant Cool, detektyw. Niech mi pan od razu powie, co pan o tem sądzi, jakie pan ma przypuszczenia i podejrzenia, bo czas w tym wypadku jest drogi.

— Mogę panu powiedzieć jedynie to, co widziałem. Wchodząc o godzinie dziewiątej rano, a więc przed pół godziną do biura, znalazłem kasę rozbity. Obecnie wszystko znajduje się w tym stanie, jak przy moim wejściu. Stróż, związany i z zakneblowanymi ustami leżał tam w kącie, pod oknem...

— A — gdzie jest ten człowiek?

— Tutaj, sir, za panem. Czyście się już opamiętali, Murphy? — rzekł, zwracając się do stróża.

— Tak, panie, oprzytomniałem już i mogę wszystko opowiedzieć i jasno wyłożyć, jak na dłoni — odpowiedział Murphy, wstając z krzesła i występując przed policystę.

Ten ostatni badawczym wzrokiem zmierzył silną, podsadkowatą postać około trzydziestoletniego mężczyzny i zwrócił się jeszcze raz do mister Vanderhooka.

— Niech pan z łaski swojej zbada dokładnie zawartość kasy i obliczy dokładnie, co panom skradziono. Ja tymczasem przesłucham stróża.

Powiedziawszy to, usiadł, skinięciem przywołał ku sobie sierżanta i wyjął z kieszeni notatnik:

— Jak się nazywacie?